

Państwo obiadową porą

Tekst i zdjęcia Ziemowit Szczerek

„Nie planujemy i nie chcemy ogłaszania niepodległości, ale jakby co, zawsze możemy to zrobić”, mówi Nikołaj Stojanow, zastępca baszkana Gagauzji. Tak, baszkana. To nazwa najwyższego urzędu w autonomii. „I co z tego, że Gagauzja mała – ciągnie Stojanow. – A Luksemburg to duży? A Andora duża?”

Marszrutka trzęsie się po przedmieściach gagauskiej stolicy – Komratu. Kierowca prowadzi nerwowo, kręci, omija dziury. Ma na sobie domowe kapcie i za małą dżokejkę z napisem „European Union”. Im bliżej centrum, tym asfalt nowszy, tym domy nowsze i szyldy też. Nie żeby od razu tworzyły jakąś urbanistyczną harmonię, ale zawsze nowsze.

Za oknami słońce, bo w końcu ze słońca i ładnej pogody Mołdawia jest znana; kiedyś, za Związku Radzieckiego, był tu wszechzwiązkowy raj. Ech, Mołdawia – wdychali obywatele ojczyzny proletariatu, gniotący się po chruszczowkach od koła podbiegunowego po stepy Azji Środkowej. Mołdawia: zieleń, sympatyczne domki skąpane w roślinności, winnice, piwniczki, koniak z cytryną – nic, tylko siadać na ławeczkach, przy płotach, ze stopami w soczystej trawie, ze *stakańczykiem* w rękę. Życ, nie umierać.

W Gagauzji, autonomicznej republice pozostającej w ramach mołdawskiego państwa, nie jest inaczej. Zielono tu i kojąco. Tam wiekowa łąda podskoczy na wyboju, wiezie w niedomkniętym bagażniku arbuzy, tu osiołek zaprzężony w dwukołowy wózek, a na wózku – starszy pan w podkoszulce na ramiączkach. Ówdzie – traktor-samoróbka, symbol technicznego zmysłu narodów poradzieckich: chłop bosymi stopami ciśnie pedały wyjęte z jakiegoś starego zaporozca. I wygląda na to, że i ta łąda, i ten traktor są traktowane nie inaczej niż osiołek: jak żywe stworzenia. Krztyny diabelskiej elektroniki w nich nie ma, tylko sama mechanika; technika, którą można pojąć i okiełznać młotkiem czy śrubokrętem. Osiołka nakarmić, traktor naoliwić i życie się toczy.

Ale im bliżej centrum stolicy, tym mniej osiołków, tym mniej traktorków – pojawiają się japońskie i niemieckie terenówki, jeżdżą audi i volkswageny, które dni swoich dobiegają na mołdawskich szosach. Zresztą, ileż się tymi przedmieściami

jedzie, parę minut ledwie. Marszrutka dojeżdża do ronda, babiny wstają z siedzeń, podnoszą koszyki z jajkami, ze słoikami, starsi panowie zakładają marynarki, do tej pory gniecione na podołkach, dziewczyny poprawiają włosy, zerkają w lusterka puderniczek. Można wysiadać, wcisnąć kierowcy w dłoń zwitek wytartych lei, których ten nawet nie liczy – i iść prosto w rozpalone powietrze, w którym ciężko złapać pierwszy oddech.

Miasto ma wszystkiego ledwo ponad dwadzieścia tysięcy mieszkańców. Przypomina w zasadzie dużą, mołdawską wieś, która w samym środku reprezentacyjnie się zagęszcza, by wydać z siebie kilka piętrowych budynków, park i pomnik Lenina.

Bo tu przyjemnie

Kim są Gagauzi? W Komracie, żeby wszystkiego się dowiedzieć, najlepiej przejść się do muzeum historii Gagauzów, niedaleko siedziby baszkana. Po kruszejących schodkach wchodzimy do budynku przypominającego starą socjalistyczną szkołę, jakich pełno i u nas, i w całym byłym RWPG: linoleum i wytarta klepka. Ściany pomalowane praktycznie: do połowy beżową olejną, by łatwo było brud wytrzeć, a wyżej – jak kto lubi. Jesteśmy jedynymi gośćmi i pracownice, którym czas aktywności zawodowej mija na niespiesznej herbacie i czytaniu książek obłożonych w gazety, ochoczo i z uśmiechem ruszają w naszą stronę.

Na początek, jak u Hitchcocka, trzęsienie ziemi. Żebyśmy przypadkiem nie pomyśleli, że naród gagauski sroce spod ogona wypadł, pani pokazuje nam mapę całej Eurazji. A na mapie – efektownie zakreskowana dobra jedna trzecia ładu. To ludy tureckie, ale nie tylko, wszystkie łańcuchowe: tu Kazachowie, tam Turcy, Azerowie, Turkmeni; tu Ujgurzy, tam Mongołowie, Buriaci, Ewenkowie. A tu, gdzie pani pokazuje drewnianym wskaźnikiem, mała kropka: Gagauzi.

– Jesteśmy częścią wielkiej łańcuchowej rodziny – tłumaczy z uroczym uśmiechem przewodniczka. – Kiedyś, dawno temu, nasi przodkowie przywędrowali tutaj, do Budziaku, do Besarabii, i już zostali.

– A czemu?

– A co, nieprzyjemnie tu?

– Przyjemnie – przyznaję, bo przecież przyjemnie.

– A widzicie – uśmiecha się pani.

Gagauzi mówią językiem z rodziny tureckiej, ale ich pochodzenie, wbrew słowom przewodniczki, wcale nie jest takie oczywiste. Tadeusz Kowalski, międzywojenny polski orientalista, twierdził, że przodkami Gagauzów są Turcy Seldżuccy, którzy w XIII wieku osiedlili się na północy Bałkanów, od Besarabii do Dobrudży, gdzie zmieszali się z Pieczyngami, Uzami i Kumanami i przyjęli prawosławie. Inni badacze mają ich za sturczonych (a właściwie zreturczonych, jeśli można pozwolić sobie

na taką akrobację pojęciową) Bułgarów, a nawet Greków. Ale jest też inna hipoteza: według niej Gagauzi są potomkami „właściwych” Bułgarów, plemienia, które przywędrowało z nadwożańskich stepów, by w VII wieku naszej ery założyć na Bałkanach państwo. Państwo uległo slawizacji, ale zagubione gdzieś w Besarabii bułgarskie plemię zachowało – jakoby – mowę przodków. Ta teoria jednak nie jest ani lepsza, ani gorsza od pozostałych. A teorii o pochodzeniu Gagauzów naliczono aż kilkanaście. W muzeum oglądamy stare listy z czasów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, podziwiamy gagauskie stroje ludowe, czytamy wycinki z radzieckich gazet, w których pisano o małej republice.

Świat nigdy nie wiedział zbyt wiele o Gagauzji i Gagauzach, nawet gdy zimą 1906 roku ogłosili powstanie niepodległego państwa ze stolicą w Komracie. Niepodległość skończyła się po paru dniach. Później była I wojna światowa, rewolucja, potem do Besarabii weszli Rumuni i w 1918 roku okazało się, że stolica nie jest już w Moskwie, a w Bukareszcie. Tak było aż do 1941 roku, gdy do Komratu, Czadyr-Lungi i innych gagauskich miejscowości wróciła Rosja, tym razem w wersji radzieckiej. Rumuni pokazali się tu jeszcze w czasie wojny i na parę lat zagarnęli region aż po Odessę, ale po 1944 roku na dobre zainstalował się tutaj Kraj Rad. O Rumunach jeszcze usłyszymy, a tymczasem przejdźmy się do stojącej w centrum miasta galerii i centrum kulturalnego.

Dni, w których Komrat stęzał w oczekiwaniu na mołdawską karną ekspedycję, mieszkańcy wspominają do tej pory, choć obyło się bez ofiar.

Co tu pokazywać

Budynek galerii jest wielki i nowy. Plastikowe drzwi na klatkę schodową, w środku sterylność ścian i kafelków, błogosławiony chłód. I pustka, bo na parterze nie ma żywej duszy. Wchodzimy na pierwsze piętro – to samo. Drugie piętro – mamy na plecach gęsią skórę. Urząd-widmo. Może w Gagauzji mają sjęstę? Trzecie piętro – bo uparcie się wspinamy, przecież główne wejście jest otwarte, musi tu być jakieś życie – znów pustka. Na ścianach ani połowy plakatu, ani gazetki ściennej, przy drzwiach nie ma tabliczek.

Czwarte piętro – jest życie! Niemrawe, co prawda, w postaci pani bibliotekarki, rozwiązującej za biurkiem krzyżówkę. Pani bibliotekarka chwyta się za serce: mało zawału nie dostała! A tośmy ją przestraszyli!

Porozmawiać o lokalnych działaniach kulturalnych? To lepiej nie z nią, gdzie tam ona do wywiadów – skromnie spuszcza oczy. A z kim? Może z dyrektorem – ożywia się i biegnie do jego gabinetu. Za chwilę wraca niepokieszona: dyrektora nie ma. Poszedł na obiad. Ale jest Olena, wytrzymała skądś młoda, długowłosa koleżanka. Pani bibliotekarka pcha ją w naszą stronę.

– Olena pokaże wystawę.

Trzydziestoletnia Olena prowadzi nas więc po wystawie, obecnie jedynej w galerii. Na ścianach wiszą rysunki dzieci. Temat – dowolny. Chodzimy po błyszczącej posadzce, obcasy Oleny stukają, patrzymy na porozwieszane na ścianach księżniczki, czołgi, domki, pokemony, koniki i żołnierzy w kredce, plakatówkach i świecówkach. Za oknem wypalony słońcem Komrat. Gdzieśgdzie przez upał przeciska się jakiś spocony obywatel. Lenin na postumencie rozpała się do białości.

– Co tu pokazywać – kryguje się pani Olena. – Gdyby dyrektor był, to by wam poopowiadał, a ja...

Nie jest Gagauzką. Jest Rosjanką. Czy odpowiada jej gagauska autonomia? O, jak najbardziej! Tutaj wolność jest dla wszystkich, nie tylko dla Gagauzów. Dla Rosjan, Ukraińców, Bułgarów, Mołdawian nawet. Tutaj jest kraj dla wszystkich, tutaj nie-ważne, jaką ma się narodowość – ważne, co się sobą reprezentuje.

– A w Mołdawii – pytam – tak nie ma?

Olena krzywi się i patrzy na mnie, jakbym się wczoraj urodził.

– Może i jest – odpowiada po chwili, uśmiechając się lekko.

Czy chciałyby niepodległości Gagauzji? Olena kręci głową. Już raz Gagauzja próbowała kombinować z niepodległością. Olena była wtedy dzieckiem, ale pamięta rok 1990 i potworny strach, jaki panował w mieście, gdy maszerowali na nie mołdawscy ochotnicy, nauczyć Gagauzów lojalności wobec Kiszyniowa.

Małe różnice, wielkie sprawy

W 1989 roku Mołdawia, jeszcze jako republika radziecka, spod grubej warstwy cyrylicy zaczęła odgrzebywać romańską – a dla niektórych bez dwóch zdań rumuńską – tożsamość. Zaczęto mówić o „rumuńsko-mołdawskiej tożsamości”. Tyle tylko, że Gagauzja z tą tożsamością nie miała nic wspólnego. W Gagauzji mówi się albo po gausku, albo po rosyjsku, bo to rosyjski, nie rumuński (czy mołdawski), jest dla narodowości w regionie *lingua franca*, i to właśnie ten język słychać najczęściej na ulicy.

Ale Mołdawia zapragnęła mówić po swojemu. Język mołdawski w zasadzie nie różni się od rumuńskiego, w Mołdawii jednak nazywa się go mołdawskim i koniec. Termin ten wymyślono za czasów radzieckich, by podkreślić odrębność mieszkańców obu krajów.

W początkach niepodległości, gdy krajem rządził Mircea Snegur, entuzjasta połączenia z Rumunią, nikt nie owijał w bawełnę. Język urzędowy w Mołdawii nazywał się rumuńskim i tyle, flaga była identyczna z rumuńską (oprócz dodanego mołdawskiego herbu), a obywatele musieli stawać na baczność przy takim samym hymnie narodowym jak sąsiedzi: *Przebudź się, Rumunie*. Snegur mówił o „Rumunach z obu stron granicznego Prutu”, a o Mołdawii jako o „świętej rumuńskiej ziemi”. Zjednoczeniowy entuzjazm Snegura został ostudzony dopiero, gdy okazało się, że prezydent tak radośnie biegł w rumuńskie objęcia, że nie zorientował się, iż nikt nie biegnie za nim. Na scenie politycznej został sam, a prawie 95 procent mołdawskiego społeczeństwa opowiedziało się w referendum z 1994 roku za utrzymaniem niepodległości państwa. Nastąpił więc powrót do mołdawskiej tożsamości, promowanej jeszcze w czasach ZSRR. Zmieniono hymn, język przechrzczono na mołdawski.

Jeśli chodzi o ogłoszenie mołdawskiego osobnym językiem, to jedni językoznawcy łapali się za głowy, a inni udowadniali, że to raczej rumuński powinno nazywać się mołdawskim. Powstał słownik mołdawsko-rumuński, głównie na złość ówczesnemu prezydentowi Rumunii Traianowi Baiescu, który ogłosił kiedyś wszem i wobec, że uwierzy w odmienność języka mołdawskiego, kiedy taki właśnie słownik zobaczy. Słownik składa się głównie z rusycyzmów i mołdawskich regionalizmów. W końcu, żeby było jeszcze weselej, tych, którzy upierali się, że są Rumunami, ogłoszono mniejszością narodową.

Jednak w 1990 roku o Rumunach mówiło się w Mołdawii tak, jakby mieli zaraz przyjść, zorganizować administrację, poprzykręcać do ścian rumuńskie godła i porozwieszać rumuńskie flagi. A w Gagauzji Rumunii wyjątkowo nie lubią i nic się na to nie poradzi.

Radzieckich żołnierzy witano z radością

– A niech ich cholera pokręci, tych Rumunów – piekli się gagauski *vox populi* w osobie starszej pani siedzącej na ławeczce przed domem, dosłownie parę metrów od głównej ulicy Komratu. Wieś wchodzi tu w miasto. Pani na ławeczce może pozwolić sobie na złorzeczenie Rumunom wprost, ponieważ jest po prostu panią na ławeczce, a nie pracownicą muzeum, dyrektorem urzędu czy – nie przymierzając – samym baszkanem.

Wicebaszkan Gagauzji mówi dużo i chętnie. Żaden z niego Gagauz, jest Bułgarem, ale to tylko świadczy o tym, jaka w Gagauzji panuje tolerancja.

Pani, choć niemłoda, nie pamięta rumuńskiego panowania, albo – jak to bez ogródek nazywa – okupacji, ale pamiętała ją matka nieboszczka i ojciec, świętej pamięci. Ludzie pamiętają – i przedwojenne czasy, gdy rumuńska Żelazna Gwardia wprowadzała w kraju twardy nacjonalizm, a tureckojęzyczni Gagauzi za nic nie pasowali generałowi Antonescu do obrazu Wielkiego Rumuna, i czasy wojenne, kiedy to – po paru latach pod władzą ZSRR – Rumuni wrócili, już jako sprzymierzeńcy Hitlera,

a tureckojęzyczni Gagauzi za nic nie pasowali generałowi Antonescu do obrazu Wielkiego Rumuna, i czasy wojenne, kiedy to – po paru latach pod władzą ZSRR – Rumuni wrócili, już jako sprzymierzeńcy Hitlera, i maska opadła do końca.

– Byli gorsi od Niemców – mówi z przekonaniem pani z ławeczki i opowiada o wojennym terrorze.

Gagauzom niezbyt podobała się wizja mołdawskiej niepodległości. Woleli, żeby ZSRR pozostał tym, czym był. Bali się wcielenia do rumuńskiego państwa. Poza tym, nikt tu prawie nie znał rumuńskiego czy mołdawskiego i nie widział powodu, by nagle, na własnej ziemi, uczyć się obcej kultury. Związek Radziecki, tygiel narodów, rzucił do Gagauzji przedstawicieli wszystkich chyba kultur ZSRR, zalał całość językiem rosyjskim jako spoiwem, i w Gagauzji wszystkim to odpowiadało.

Kiedy w ramach protestu przeciwko planowanej mołdawskiej niepodległości pręźnie zaczął działać ruch Gagauz-halki (Lud gagauski), poparli go prawie wszyscy: od Gagauzów, poprzez lokalnych Bułgarów, Rosjan, Ukraińców, Białorusinów, Polaków i kogo tylko na ten skrawek bukowińskiej ziemi przyniosło. Nikomu nie uśmiechała się wizja romanizacji – wszystko jedno czy w rumuńskim, czy w mołdawskim wydaniu.

W 1990 roku ogłoszono autonomię Gagauzji. ZSRR jeszcze istniał, ale Gagauzi woleli dmuchać na zimne: nie wychodząc ze Związku Radzieckiego, wyabstrahowali

się z Mołdawskiej SRR. Chcieli być osobnym podmiotem Związku. Ruch sprytny, tyle że nikt go nie uznał. Cała sprawa o mało nie zakończyła się krwawą rozprawą: to właśnie w sierpniu 1990 roku z Kiszyniowa nadciągnęła armia mołdawskich *dobrowolców*, by spacyfikować separatystów. Gagauzów przed mołdawskim linczem uratowała jednostka radzieckiego wojska, która weszła do Komratu z terytorium ukraińskiego Budziaku.

Ale dni, w których Komrat stężał w oczekiwaniu na nadciągające mołdawskie popolite ruszenie, mieszkańcy wspominają do tej pory, choć nigdy nie wybuchły tu otwarte walki jak w Naddniestrzu i nie było ofiar.

– Była wtedy straszna bieda, właśnie to pamiętam, oprócz poczucia zagrożenia – opowiada Olena. – Nie wiedziałam, co się święci, ale rodzice byli strasznie zdenerwowani i wystraszeni. Mama płakała. Radzieckich żołnierzy, którzy przyszli nas bronić, wszyscy w Komracie powitali z radością.

Nie ma potrzeby myśleć o niepodległości

Nie doczekawszy się dyrektora, którego obiad trwał w nieskończoność, chcieliśmy dopaść w godzinach pracy baszkana. Komrat był pustawy. W parku nieopodal znaleźliśmy – oprócz kolorowego i surrealistycznie wyludnionego placu zabaw – zamknięty na trzy spusty klub o nazwie CCCP. Asfaltową alejką dotarliśmy do stóp Lenina, który pustymi, pomnikowymi oczami gapił się na niedziałający klub. Minęliśmy gigantyczne filary budynku rządu gagauskiej autonomii. W przeszklonym kantorku przy wejściu przysypiał ochroniarz.

– Do baszkana – powiedzieliśmy, prezentując legitymacje i przyjazne wyrazy twarzy. – Dziennikarze z Polski.

– Byliście umówieni? – spytał zmęczonym głosem ochroniarz.

– Powiedziano nam, że baszkan chętnie przyjmuje zagranicznych dziennikarzy. Ochroniarz gdzieś zadzwonił.

– *Da, da. Zachoditie* – powiedział, odkładając słuchawkę.

Po schodach pokrytych wykładziną wspięliśmy się na samą górę – na piętro władzy najwyższej. Tyle że władza najwyższa...

– Baszkan jest na obiedzie – oznajmiła ze smutkiem jego sekretarka, która oczekiwała nas u szczytu schodów.

– To może poczekamy? – spytałem równie smutno.

Sekretarka westchnęła, w oczach miała wyrzut. Rozejrzała się po wąskim, ciemnym korytarzu, po czym kazała nam chwilę poczekać. Potruchtała na szpileczkach do drzwi na końcu korytarza, zapukała w nie cichutko. Po chwili wyciągnęła głowę i machnęła na nas ręką jak komandos-zwiadowca, który daje znak kolegom, że mogą już wyleźć z krzaków.

– Baszkana nie ma – powiedziała z naciskiem, byśmy zrozumieli, że obiad szybko się nie skończy. – Ale można porozmawiać z Nikołajem Stojanowem, jego zastępcą.

Nikołaj Stojanow, wicebaszkan Gagauzji, mówi dużo i chętnie. Żaden z niego Gagauz, wyjaśnia, jest Bułgarem, ale to tylko świadczy o tym, jaka w Gagauzji panuje tolerancja, jak tutaj narodowość nic nie znaczy. „*U nas niet nacionalizma*”.

Gagauzi, po marszu *dobrowolców* i po ogłoszeniu przez parlament Mołdawskiej SRR, że żadna odrębna od Kiszyniowa „Gagauska Republika Radziecka” nie istnieje, nie złożyli broni. Na czele ruchu niepodległościowego stanął Stefan Topal, aktywista mołdawskiej partii komunistycznej, z wykształcenia inżynier lądowy.

W ogólnozwiązkowym referendum 28 marca 1991 roku (zbojkotowanym przez Mołdawian), Gagauzi opowiedzieli się za utrzymaniem Związku Radzieckiego. W połowie sierpnia 1991 roku ponownie ogłosili niepodległość, powołując wcześniej do życia lokalne ochotnicze siły zbrojne. Parę dni później odbył się pucz Janajewa, na który wielu Gagauzów patrzyło z nadzieją. Przywiązanie do ZSRR było demonstrowane mocno, a postulat zachowania języka rosyjskiego jako urzędowego był prawie tak ważny jak sama niezależność.

Mołdawianie mieli jednak większe zmartwienia niż kilka gagauskich miasteczek i wiosek na krzyż. Ogłaszali niepodległość i ich władze dopiero uczyły się jako tako zarządzać nowym europejskim krajem. Na domiar złego, od tego nowego europejskiego kraju odrywały się wszystkie ziemie po wschodniej stronie Dniestru. Mołdawianie na wszelki wypadek aresztowali więc (na krótko) Topala. Po wyjściu z aresztu Topal został wybrany pierwszym baszkanem Gagauzji.

Gagauzi nie poddali się. W 1994 roku wywalczyli autonomię. Od tej pory Komrat jest oficjalną stolicą Gagauz Yeri, a *casus* gagauski często przywołuje się w świecie jako całkiem sensowne rozwiązanie konfliktu etnicznego.

Czy Stojanow mówi po gagausku? Wicebaszkan dobrotliwie się uśmiecha. Doga da się, owszem, ale tutaj wszyscy mówią po rosyjsku.

– Każdy może mówić, jak mu się podoba – stwierdza. – U nas wolność, wszystkie języki są urzędowe: rosyjski, gagauski, mołdawski. Ale to rosyjskiego używamy na co dzień.

– W pracach gagauskiego rządu też?

– W pracach gagauskiego rządu też.

Jak układa się współpraca Gagauzji z Mołdawią? Stojanow generalnie ją sobie chwali. Wiadomo, są trudności: centrala nie przestrzega niektórych praw autonomicznego rządu, zdarza się, że Kiszyniów pakuje się w kompetencje Komratu.

– A czy ktokolwiek nadal myśli o niepodległości?

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiada Stojanow. – Nie planujemy i nie chcemy ogłaszania niepodległości. Jak na razie, odpukać, współpraca z Mołdawią układa się dobrze. Poza tym, trudno byłoby być niezależnym państwem z takimi granicami,

jakie mamy: Gagauzja nie posiada jednolitego terytorium. Ale jakby co – zastrzeżę – gdyby sytuacja stała się naprawdę złą, możemy to zrobić.

– Przetrwalibyście sami? Gagauzja taka mała...

– A Luksemburg – pyta wicebaszkan – duży? A Andora duża?

Tu jest spokój

Gagauzja jest krainą zdecydowanie prorosyjską. Zaraz po oderwaniu przez Rosjan od Gruzji Abchazji i Osetii Południowej, gagauski parlament uznał ich niezależność (choć w prawie międzynarodowym to jedynie pusty gest – Gagauzja nie jest jego podmiotem). Podczas przemówienia na II Światowym Kongresie Gagauzów w sierpniu 2009 roku gagauski baszkan Mihail Formuzal (przebywający – przypomnijmy – w chwili przeprowadzania wywiadu na obiedzie, być może z dyrektorem centrum kulturalnego), ogłosił upadek ZSRR jedną z największych klęsk, jakie spotkały Gagauzję w XX wieku, obok obu wojen światowych. Dlatego pytam wicebaszkanę, jak zapatruje się na integrację europejską Gagauzji.

Pada kilka okrągłych zwrotów o tym, jak Gagauzja szanuje i podziwia Unię Europejską, ale pojawia się problem: Rumunia. Wicebaszkan daleki jest od kategoriycznych opinii na temat Rumunów, ale – jak mówi – „ludzie pamiętają”. Oczywiście Unia Europejska to nie Rumunia i wicebaszkan zdaje sobie z tego sprawę, ale niczego więcej nie udaje nam się z niego wycisnąć.

– Zobaczymy, jak rozwinie się sytuacja – wykręca się.

Przez chwilę rozmawiamy jeszcze o niezłych – jak na Mołdawię – wynikach gospodarczych Gagauzji, o uniwersytecie, z którego Gagauzi są dumni i na którym uczy się nie tylko lokalna młodzież, ale także studenci z Turcji i Bułgarii, i na tym kończymy wywiad. Ale wicebaszkan ma dla nas niespodziankę. Schodzi z nami na parter urzędu i prowadzi do jednego z pokoiów w lewym skrzydle.

– Oto pan Władysław Wolewicz – przedstawia wąsatego, szczupłego jegomościa, który unosi zdziwioną twarz znad komputera. – Lokalny Polak.

Pan Władysław prowadzi mnie do swojego domu. Jego żona organizuje życie lokalnej Polonii, jest szefową istniejącego od 2004 roku Stowarzyszenia Polaków Gagauzji. Wicebaszkan ułatwił mi zadanie: i tak zamierzałem się z nią spotkać. Brniemy przez chwilę pomiędzy zadziwiającą poradziecką zabudową i po chwili stoimy już przed panią Ludmiłą.

Ludmiła Wolewicz, sympatyczna pani w domowym fartuchu, karmi właśnie koty rybami. Sadza mnie na kanapie w salonie i podejmuje herbatą. Opowiada o działalności Stowarzyszenia, skarży się na problemy ze znalezieniem nauczyciela języka polskiego do prowadzenia pozalekcyjnych zajęć dla polskich dzieci. W samej Gagauzji Polaków jest całkiem sporo, kilkaset osób. Ale to nic wyjątkowego, żyją tu przedstawiciele

ponad stu narodowości. To spadek po Związku Radzieckim. Nie ma w tym nic złego, przeciwnie – wszyscy żyją w zgodzie i nikt nie robi nikomu problemów.

Jest w połowie Polką, w połowie Gagauzką, więc czuje się tutaj, w Komracie, jak najbardziej u siebie. Co myśli o rządach obecnego baszkana? Świetnie się z nim współpracuje. Co myśli o gagauskiej autonomii? Dobra rzecz. Tu, w Gagauzji, jest spokój, nie to co w Mołdawii.

Pani Ludmiła opowiada, jak pewnego dnia przyjechała na spotkanie do Komratu mołdawska aktywistka.

– Tu jest Mołdawia! – mówiła – Tu się mówi po mołdawsku! Kto chce po rosyjsku, proszę, może pakować walizki i jechać do Moskwy.

Pani Ludmile to się nie podoba.

Bronić ojczyzny, ale jakiej?

W całej Mołdawii – oprócz Gagauzji – plakaty zachęcające młodych do zaciągu do wojska wyglądają podobnie: młodzieńcy w czapach wielkich jak dekle od studzienek prężą umundurowane piersi. U góry napis „*Pentru Tricolor*”, bo Mołdawianie tak samo jak Rumuni swoją flagę nazywają trójkolorową. Ale wezwanie skierowane do mieszkańców Gagauzji – u dołu plakatu – ani słowem nie wspomina już o Mołdawii i „tricolorze”; mamy tu jedynie niebiesko-biało-czerwoną flagę Gagauzji. Na fladze rosyjski (nie gagauski) napis: „*Służu Rodinie*”. Niby armia nie nawołuje wprost do giniecia za Gagauzję, ale słowo „Mołdawia” też się tu nie pojawia. Perspektywa poświęcania czegokolwiek dla Mołdawii w takiej formie, jaką ten kraj posiada obecnie, nie porusza tutaj serc. Z kolei jedyne słowa, które na plakacie napisane są po gagausku, to „*Gagauz Yeri*”.

Mołdawia nie jest tak „nacjonalistyczna”, jak uważa się w Gagauzji. W samym Kiszyniowie raptem kilka osób odmówiło rozmowy po rosyjsku, prosząc o przejście na angielski. Na prowincji głównie łacinka na szyldach i tablicach informacyjnych oraz pomniki Stefana cel Mare świadczą o tym, że nie jesteśmy w rosyjskim kręgu kulturowym. O zjednoczeniu z Rumunią nikt tutaj poważnie nie myśli, a puszczona parę lat temu nieoficjalna sonda Putina, w której miałyby się on „zgadzać” na zjednoczenie Mołdawii z Rumunią w zamian za przyłączenie Naddniestrza do Rosji, wywołała w Kiszyniowie wściekłość. Nie tylko dlatego, że pokazywała arogancję Putina, który chciałby jednoczyć nie swoje kraje, ale dlatego, że niewiele się tu spieszy do przenoszenia stolicy do Bukaresztu.

– Mówisz po mołdawsku? – pytam Piotra, dwudziestolatka z Komratu, który w białym lnianym garniturze jedzie z Komratu do pracy w Kiszyniowie.

– A skąd – odpowiada Piotr. – Po rosyjsku i po gagausku. Po co mi mołdawski?

– Nie będziesz miał z tym w Kiszyniowie problemów?

– Daj spokój. Wszyscy po rusku mówią. Nie wygłupiaj się.

Gagauzja ma swoją autonomię, z którą jej dobrze. I choć świat poza nią nie jest tak przerażający i nacjonalistyczny, jak się wydaje w Komracie, widocznie tym, którzy lepiej czują się w pozbawionym (jak sądzą) uprzedzeń narodowych społeczeństwie, potrzebny jest taki azyl. Oni po prostu z mołdawskością, rumuńskością i ich wzajemnym stosunkiem nie mają i nie chcą mieć nic wspólnego. 🙏

Ziemowit Szczerek jest redaktorem portalu Interia.pl.